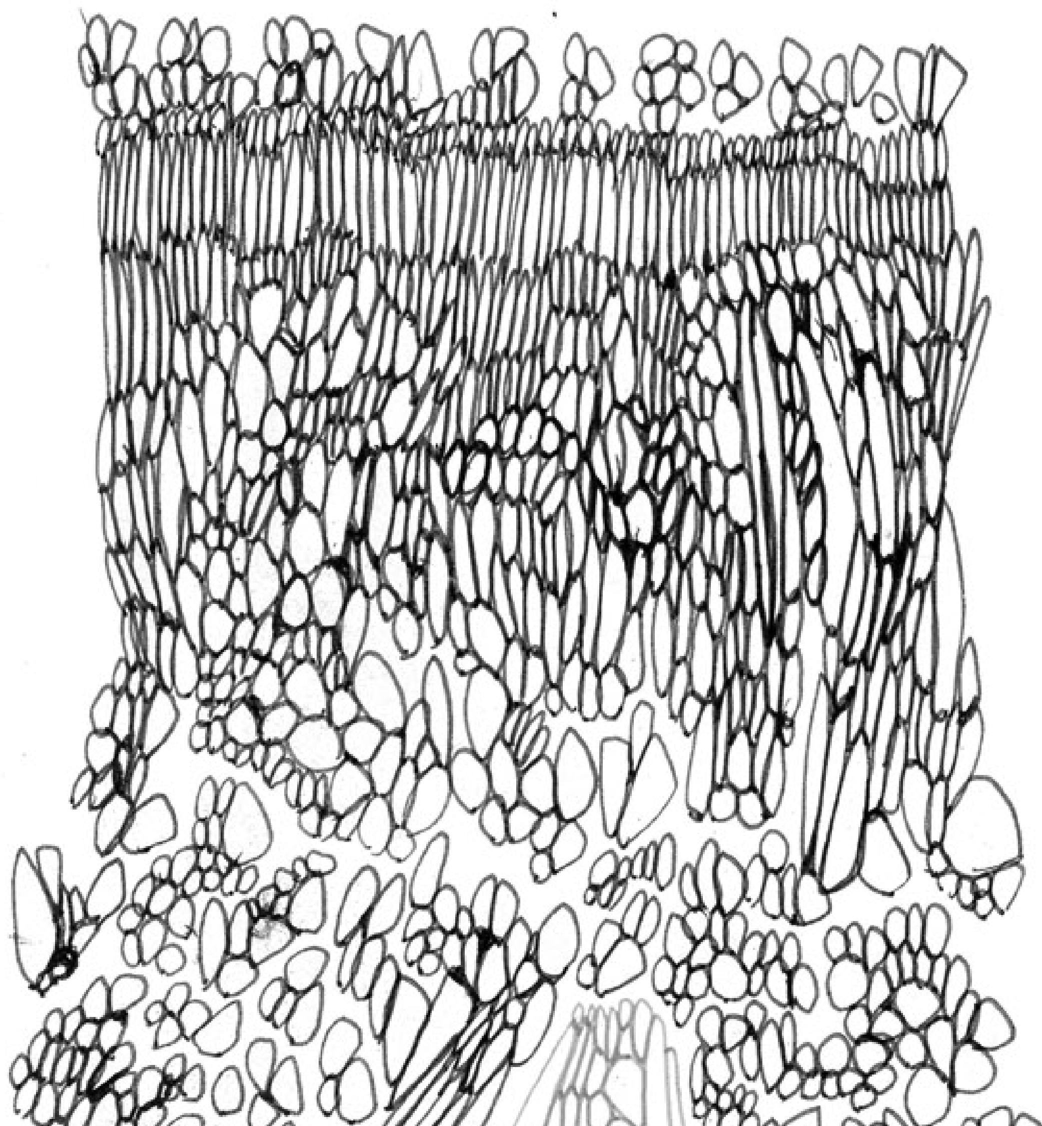
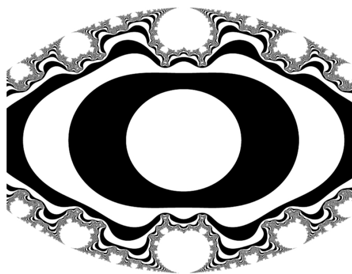
Anna Lisowska
Bartłomiej Michał Górecki
Filip Szyszkowski

SPLIT





NET
UNDERCULTURE

2013
Okładka i ilustracje: Bartłomiej Michał Górecki
Straszliwy skład: Filip Szyszkowski



Anna Lisowska

Laureatka Złotego Pióra Głosu Szczecińskiego. Autorka wielu opowiadań i niedokończonej książki. Dziennikarka lokalna i miłośniczka fotografii. Niepoprawna (z małymi odchyłami zaprzeczającymi) romantyczka, zakochana w książkach.

Bartłomiej Michał Górecki

Dwudziestojednoletni artysta studiujący malarstwo na ASP w Katowicach. Tworzy obrazy, animacje i video, próbuje swoich sił w formach literackich i w konstruowaniu klaustrofobicznych przestrzeni okołodźwiękowych.





Filip Szyszkowski

Optymista snujący wizje różnych końców swiata. Twórca ambientowego projektu 21 Gramms. Na koncie dwie słabe książki i niezapłacony mandat.

C’est fni

Anna Lisowska

To było wczoraj.
Rozdział zamknięty.
Samotność krzyczy przez ciszę.
Myśli gubią się we wspomnieniach.
Piosenka księżycowa przypomina.
Łzy przepływają przez palce.
Droga…

Waniliowy zapach jasnego światła… Płomień rozpraszający czarny mrok… Mrok samotności. Czerwone – zastygłe już – serce – dawna lawina miłości… Okrągłe paciorki odłożone tylko na chwilę… By zrozumieć. Wyrafinowany koktajl aksamitnych rajskich aromatów, chłodząca świeżość i ciepło akordów drewna powoli wypełniają jej duszę… By ukoić. Usta – kiedyś pełne ciepłych, zbawiennych słów… By wybaczyć. Delikatne dłonie – wystarczył jeden dotyk, by poznać Prawdę… Tylko teraz Prawda miesza się z Kłamstwem. To niebiańskie uczucie… Byli dla siebie obłokami, na których z każdym dniem mogą wznieść się wyżej – Ponad Możliwości…

Ale teraz zgasły już Złote Lampiony… Ciemność… Srebrzysta Aleja przykrywa się potokiem nieszczęśliwości, czerwone maki palą się ogniście, łagodny śpiew słowika przemienia się w przeraźliwy krzyk… Cierpienie… Odcięta od świata. Sam na sam z szarymi murami. Lęk, smutek... Żałuje? Może zrobiła coś nie tak jak powinna? Skrzywdziła…? Siebie? Jego? Nie widzi Słońca… Nie widzi lazurowego nieba… Nie widzi… Pochłonięta przez przepaść, otchłań bez dna…

Jest szansa…? Czy może wydostać się z niezmierzonej głębiny rozpaczy… Zacząć od nowa? Odnaleźć światło i sens – gdzieś wewnątrz… Sama. Uklęknąć… Oddać się rozmowie z Najwyższym, oczyścić serce, umysł… ON nie zawiedzie… Warto? Warto pozwolić małej kropelce rosy obudzić się do życia? Może Złote Lampiony znów zapłoną…?

…do bólu.
Nieobecność.
Bez szans.
Bez powrotu.
Nic.
A jednak wszystko.

Wyciągnę wszystkie Twoje rzeczy na śnieg i podpalę

Bartłomiej Michał Górecki

Siadałem pod kuchenką gazową, a zielony neon, trzeciej w nocy gryzł mnie po powiekach. Na podłodze leżały strzępy ulotki wystaw. Tworzyłem kolaż pod Twoimi powiekami, miraż naszych ciepłych miejsc.

Nazywaj mnie jak chcesz, i tak umrę jako nikt. Tylko wyryte na fałdach pościeli krypto symbole bez końca przypominać będą Ci, nasze dwie ostatnie zimy. Zgasnę podczas pierwszego i zarazem ostatniego lotu. Tak teraz jak i jutro.

Spróbuję się wzbić tam jeszcze raz. Zbiorę wszystkie siły, dźwignę swój ciężar i znajdę wyjście. Odnajdywanie wyjścia z sytuacji, kiedy przez całe życie czujesz się jak zagubiony we mgle chłopiec to sympatyczna sprawa. Jak zaginionych dzieci skompilowany, dziki i bezradny płacz w brzydką pogodę, kiedy rodzice nie nadjeżdżają co by nas zabrać z powrotem w to jedno z ciepłych miejsc. Sytuacji takich jest wiele. Wszystko momentalnie upada i zabija w nas nadzieje.

Wyciągnę wszystkie Twoje rzeczy na śnieg i podpalę.

Ale potem na powrót wzbijamy się z powrotem, bo karmi nas przez cały czas podążanie, żądza, niepohamowane pragnienie. Bo czyż nie jest to ładne, gdy spychasz mnie raz za razem ze schodów?

Wszystko się komplikuje, a stopy marzną, bo podłoga w kuchni nie pamięta już odcisków Twoich bosych stóp.

Pamiętam jak opętańczo wystukiwały rytm, a trel wydobywający się z gardła był potwornym świadectwem niekończącego się szaleństwa.

To wszystko błahe i niezrozumiałe co słyszę.

Proszę bardzo - mówisz, kalecząc uszy wymiętolonymi zdaniami.

Te ściany są złe i splamione grzechem. Na niektórych kafelkach znalazłbym drobinki mojej krwi. Oznaczam teren plując jadem wszak.

Mascara

Filip Szyszkowski

Gdybym tylko trochę mocniej wychyliła się przez okno to dotknęłabym jesiennych liści. Usiadłabym na parapecie, majtałabym nogami nad dokładnie przystrzyżonym trawnikiem. Mogłabym pójść na spacer, odbijać się stopami od gałęzi i krzewów, a potem chmur. Moje płuca wypełniałyby się świeżym tlenem szpitalnego parku – potem wróciłabym grzecznie i usiadła na łóżku. To byłby idealny wieczór.

Chodzę w prostokąt – cztery kroki na trzy kroki. Mijam moje białe, plastikowe biurko, potem zamknięte na zawsze okno, solidne drzwi z okienkiem, i na końcu łóżko z wymiętoloną pościelą. Krąg się zamyka. Przechodzę tak kilka kilometrów – wiem, bo liczę. Każdy krok, każdy oddech – wciągam nieświeże powietrze z kratki wentylacyjnej. Przykładam do niej twarz, słyszę w pokoju obok łkanie. Sąsiadka jęczy w poduszkę. Dlatego tak ważne są tabletki, które dostajemy rano i wieczorem w plastikowych kieliszkach. To powtarzała mi mama – „zawsze bierz tran". Te tutaj nie smakują jak tran. Gdy się je rozgryzie, nie wypływa z nich nieco słodkawy, tłusty płyn – mają czerwony kolor i są twarde jak orzeszki w czekoladowej polewie.

Czasami dostaję też niebieskie, gdy nie mogę spać parę dni pod rząd. Te są gorzkie, nie można ich ssać – trzeba od razu połknąć i popić dużą ilością wody.

Dbają o mnie. Mogę iść zrobić tą/tę brzydką rzecz kiedy chcę, wystarczy, że zadzwonię przyciskiem przy drzwiach. Słychać wtedy szuranie plastikowych kapci o płytki, kobieta w białym pyta przez drzwi: „co się dzieje, dziecino?". Pokazuję

dłonie przed okienko – czy są czyste – i po chwili mnie wpuszczają. Wpuszczają mnie do swojego świata, nieco bardziej kolorowego niż mój – żółte zacieki na ścianach wyglądają jak freski w kaplicy sykstyńskiej. Tutaj wszystko jest inne, faktura bardziej szorstka, powietrze przesycone zapachem papierosów. Mijamy pomieszczenie z telewizorem – drzwi zawsze są uchylone. W nocy poświata wykrzywia się w kolorach nagranej taśmy, transmisji z obcego lądu. Doskonale zaprojektowane kolory wylewają się na moje gołe stopy gdy przechodzę obok. Można tam trafić w nagrodę. Tam nigdy nikt nie siedzi.

Toaleta jest na końcu korytarza. Mijam pięć par drzwi, równolegle rozstawionych, jednakowych, ale z różnymi numerkami. Wszystkie rozpoczynają się od liczby trzy – tak, jak piętro, na którym jest moja toaleta.

Pani zawsze czeka pod drzwiami, gdy robię brzydkie rzeczy. Wstydzę się – nucę pod nosem.

„Where troubles melts like lemon drops..."

Z czasów domu. Z czasów, kiedy mama smażyła oponki w głębokim tłuszczu. Kiedy świat był słodkim pączkiem obsypanym cukrem pudrem, kiedy rozgrzany tłuszcz nie parzył – a tylko zwęglał skórę.

„...high above the chimney top."

Pan, który przychodzi dwie noce po mszy przypomina mi ojca. Ma taką samą gładko przystrzyżoną brodę i włosy zaczesane do tyłu. Rozjeżdżają mu się oczy w dwie strony – mój tata tak nie miał. Mój tata pachniał drewnem i lakierem, takim orzechowym. Ten śmierdzi lekami.

„That's where you'll find me."

Gdy świdruje mnie tymi krzywymi oczami to mam ochotę wbić mu ołówek w dłoń. Kręcić nim, aż stępi się rysik. Aż będzie wył z bólu i te ulizane kudły rozpierdolą się mu po czole.

„Somewhere over the rainbow, blue birds fly."

Bardzo ważna dla mnie jest kondycja skóry. Czasami dostaję paczki – mama wysyła mi jakiś słodki upominek ubrany

w szary papier i przewiązany wstążką. Są zawsze dwa napisy, jeden mówi o moim imieniu – drugi o mamy. Pod spodem adres się co chwile zmienia, jeździ ta szalona kobieta po świecie. Dostaję słoniki z podniesionymi trąbami i małe tygrysiątka z Azji. Kartki pocztowe z miast, których nie widziałam. Czasami dostaję krem, to jest mój idealny prezent. Puste opakowania stoją w zasłużonym miejscu na biurku – mam tam olejki arganowe i tłuste kremy z Norwegii, jeden na twarz z Francji (słyszałam, jak jedna pani w białym mówiła do drugiej, że „teraz będzie smarować się płodami”), którego w ogóle nie otworzyłam.

Lubię wcierać powoli, dwoma palcami. Patrzeć jak połyskująca, delikatna skorupka wnika w skórę.

Czasami śnią mi się straszne rzeczy. Kobieta mówiąca o otaczającej nas wilgoci, która zniszczy nasze ciała. Wybrzuszą się w chorobliwe pozy, kości przemokną i rozpłyną się jak galaretka w cieple. Każda komórka będzie jęczała za ogniem. Pozostaną z nas mokre plamy, kałuże organicznej materii rozrzedzonej alkoholem.

Lubię herbatę. Lubię patrzeć, jak entropia zwycięża i herbata rozpuszcza się w ciepłej wodzie. Jedna z moich i tylko moich przyjemności. Mogę siedzieć tak nad kubkiem aż napój wystygnie i przybierze czarną barwę. Najsłodsze co może być.

Jadłam śniadanie i wpatrywałam się w kubek, gdy cały korytarz ożył. Kroki przyspieszyły i było ich wiele – przyłożyłam ucho do kratki wentylacyjnej. Niski, basowy dźwięk przeszedł w kobiecy krzyk i jęki. Serce mi podskoczyło – słyszałam coś takiego tylko w filmie, który podglądałam przez szparę. Coś o szaleńcach.

Dlatego tak ważne jest branie tabletek - żeby nie wydawać potem takich nieludzkich dźwięków. Kiedyś przesadziłam i połknęłam za dużo, tata wiózł mnie wtedy samochodem. Miałam głowę wystawioną przez okno, bo

strasznie wymiotowałam. Wiatr cudownie szumiał, było pięknie. Gwiaździsta noc, mijaniludzie. Mijaniludzie to takie małe szczurki - nic nie znaczące dla mnie. Oni nie interesują się mną, a ja nimi – ale wtedy było inaczej. Przejścia dla pieszych pełne pijanych wpatrywały się w moją twarz. Narzygałam jednemu na buty. Tata się śmiał. Ja też. Strasznie było słodko.

Mam ciemne włosy. Nie wiem już o czym pisać – dali mi puste kartki papieru i ołówek. Mam opisać moje wszystkie wspomnienia. Ciężko mi zacząć. Więc mam ciemne włosy. Nigdy nie lubiłam tych niemalże doskonałych blondynek hodowanych na hamburgerach i frytkach, ale zawsze ciekawiło mnie, w jaki sposób one trzymają wagę przy takiej diecie. Ja mam z tym problem – czasami nie jem. Nie smakuje mi to pseudonaturalne żarcie. Czuję odrazę do chleba i sera żółtego, nie mogę przełknąć mleka.

Ściana nad moim łóżkiem puchnie i wybrzusza się żółcią. Ostatnio dużo pada – chciałabym móc pochodzić w tym deszczu. Taki drobny spacer po parku przed szpitalem – zobaczyć jak zakładają sieci na jeziorze, jak zdzierają korę z drewnianych pali. Czasami ten jednostajny prostokąt nie wystarcza. Czasami chciałoby się upuścić trochę krwi, żeby zawieźli karetką. Żeby zaopiekowali się tak jak powinni się opiekować.

Urodziła mnie ziemia. Pośród drzew i splątanych konarów. Przed drewnianym domem. W deszczu – w mroku burzowych chmur. Wyczołgałam się umazana mokrą ziemią – chłonąc każdym zmysłem.

Wypuścili nas rankiem – wszystkich. Ustawiliśmy się w szeregu – jak na jakiejś wojskowej zbiórce. Kobieta w białym uśmiechała się delikatnie, ale z jej oczu spływały łzy. Zaprowadzili nas do kaplicy. Strugi spadającego z nieba deszczu rzucały cień na kremowe ściany. Blady Jezus patrzył umęczonym

wzrokiem prosto przez okna. Nigdy nie lubiłam tutaj przychodzić.

Na małym wózku – takim jak mają w hotelach za granicą, gdzie mieszka moja mama – przywieźli nam różne rodzaj jedzenia. Było wszystko – fasolka, jasne i ciemne bułki, kiełbasy, wędzony kurczak i sałatka jarzynowa, sery pleśniowe. Więc pierwszy raz mieliśmy jeść razem. Jakże dziwni ludzie mnie otaczali. Kobiety z fioletowo-czerwonymi pręgami na szyjach. Młode dziewczęta z pociętymi rękoma – gówniary. Natalia – z pokoju obok, czasami gadałyśmy przez ścianę – skuliła się w kącie. Jej usta poruszały się bezgłośnie. Zostałyśmy same – msze nigdy się tak nie zaczynały. Złapałam za klamkę, nieśmiało – drzwi nie ruszyły się ani o milimetr – tak to się pisze w naukowych książkach? Mój tata miał parę takich w biblioteczce.

Reszta usiadła w ławkach, wszystkie pogodzone z tym co nadchodziło. Nieobecne, zwolnienie z wychowania fizycznego. Niedysponowane. Mieliśmy kiedyś takie zajęcia – żadna nie chodziła na tą małą salkę gimnastyczną. Coś było nie tak z tym kolesiem w dresie. Może wąsy? Może wschodni akcent? Średnio ważne.

Kobiecy płacz zbliżał się korytarzem. Za drzwiami, w rytmie kroków chlupiących w kałużach. Zadzwonił pęk kluczy i drzwi otworzyły się. Stała przede mną kobieta w białym. Popatrzyła mi w oczy. Nie było w nich kłamstwa i litości. Tylko przerażenie i ból. Mascara spływała po jej policzkach. Piękne czerwone usta, włosy upięte w kok – jak gdyby szła na bal maturalny z ukochanym. Nieświadomość jest najlepszym co można otrzymać w życiu. Odwróciła się na pięcie i poszła w stronę klatki schodowej. Ściany spływały potokiem ciemnozielonej wilgoci.

Na moje łóżko spadł kawałek tynku – odsłonił purpurowe cegły. Budynek trzeszczy przy każdym moim kroku. Kałuże rozlewają się po kątach. Natalia siedzi na wymiętolonej

pościeli, krótkie włosy spływają wilgocią. Drapie przedramiona, czerwone kropki naruszonych naczyń krwionośnych. Małe wylewy.

Reszta nadal siedzi w kaplicy. Wypisują jakieś bzdury na ścianach. Nie wyjdą z niej nawet na krok – sparaliżowane, z paniczną niechęcią do rzeczywistości. Nie chcę tutaj być, gdy nie wezmą tabletek. Ja. Ja wychodzę na zewnątrz. Chcę poczuć – choć ostatni raz – krople na ciele. Wejść do zimnej wody w jeziorze, dotknąć wilgotnej trawy. Poczuć się jak szkolna dziewczyna wchodząca na bal z mokrymi włosami. By spływały na piersi. Bym czuła ich ciężar. Deszcz zmyje wszystkie złe uczynki. A szum zagłuszy modlitwy.

Mój papier zamókł, to raczej będzie koniec.

***

Pleśń zaczęła nieśmiało wdrapywać się na budynek. Niegdyś idealnie biały, przykryty tylko kołderką z winorośli, teraz poszarzały i umierający. Park spływał potokami. Wysypane drobnymi kamykami dróżki zamieniły się w strumienie lodowatej wody. Drzewa uginały się pod ciężarem namokniętych, zbrązowiałych liści.

Kobieta stanęła na progu. Biała, długa sukienka przemokła. Tkanina oparła się na młodym ciele, ciemne włosy spłynęły na blade piersi. Uśmiechając się patrzyła na swoje stopy. Miała gęsią skórkę – każda jej komórka pęczniała, ale nie tak jak pęcznieje ciało od nadmiaru tłuszczu. Chłonęła deszcz – upajała się każdą spływającą kroplą. Z oczy spływała mascara.

Okorowane pnie drzew leżały na kilku jednakowych stertach. Obok porzucone w bezładzie strugi, piły i chwytaki. Ścinki, drzazgi i gałęzie – wszystko wymieszane w jednolitą masę pokrytą czarną naroślą. Przeszła za tartak. Jej stopy wklejały się w czarną ziemię. Na kijach rozwieszone rybackie

sieci.

Jezioro dotykało stalowo-szarego horyzontu. Fale delikatnie załamywały się na wyblakłym piasku. Krok za krokiem, powoli zanurzała się w mętnej wodzie.

Zniknęła pod taflą.

